

Potok symboliczny — taki tytuł nosi jeden z wierszy Tetmajera. Ale nie owe symboliczne potoki, ani też „łaki mistyczne” i „rzeki mistyczne” decydują o wartości tych wierszy, w których panuje pejzaż tatrzański. Przed zapomnieniem obroniły się najbardziej wiersze tatrzańskie Tetmajera, w których ukazał on urodę rzeczywistych potoków górskich, gdzie:

...potok potężny, srebrnopiany,
szumi w wyżynie tej zawrotnej
pomiędzy ciemne płynąc ściany.
Szumi i pędzi — i z urwiska
przez głaz, co z góry z sobą skuł,
w otchłań się czarną, srebrny, ciska
i leci bez pamięci w dół.

Żyje w wierszach tatrzańskich zarówno ów niezapomniany potok, co „*leci bez pamięci w dół*”, i „*Melodia mgieł nocnych*”, liryk operujący z mistrzostwem zespoleniem elementów muzycznych i plastycznych. Zostały w tej poezji tatrzańskiej utrwalone autentyczne elementy ludowej legendy, która najpełniejszy wyraz znalazła w lawinie obrazów o różnorodnej rytmice — *Jak Janosik tańczył z cesarzową*. W tych wierszach tatrzańskich poezja Tetmajera osiągnęła najbardziej nowatorski charakter. Jego sonet *W Kościeliskach w nocy*, zaczynający się od słów: „*Jaka cisza!*” — to może najbardziej przekonujący przykład, że ta liryka, tak często operująca tradycyjną poetyką, tak niejednokrotnie przesycona wielosłowną nastrojowością, umiała sięgnąć i do nowych środków poetyckich. Uderza oszczędnością środków artystycznych, przewycięża tradycyjną dwuczłonową strukturę wiersza, łączy najściślej opis z wypowiedzią liryczną.

Poezja Tetmajera — przy wszystkich swoich słabościach — to naprawdę ważne ogniwo w rozwoju liryki polskiej. Trzeba to stwierdzić nie tylko z racji rocznicy. Tego ogniwa nie może pominąć — wbrew uproszczonym i lekceważącym opiniom o poezji młodopolskiej — rzetelny historyk dziejów polskiej poezji.

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

POEZJA 8 1
grudzień 1955

Motyl

Południe było białe jak... Nie wiem,
jakim ująć je słowem.

Na pustkowiu, po murze tak wapiennie białym,
że chyba cokole
na pomnik twojej wszechnieobecności,
w bukietach kwiatów żółtych i fioletowych
o serbskiej nazwie (cicho poruszonej wiewem)
„šeboj-vihojle“
długa jaszczurka wiła swoją zielen
i znikła w jasności... w punkcie. I po chwili
— jakby to był ledwie
znak, że dzień się przesili —
motyl, nie wiem, zjawił się czy zniknął w powiewie
najbielej...

Na białym
n i c obecne. Najpierwsze.

Ale w tej chwili, kiedy... przed tą chwilą, gdy
spojrzałem,
wysoko na skok o tycze
zielony kwiat agawy o swojej łodydze
wystrelił jak skoku powidok
żółtawy
i widzę,
jak wyjaśnił to, co jest po wietrze:

— — — — —
ostatnim twoim nie zaczętym wierszem.

Na morzu

Odplynałem
lżej i żywiej

Oddechami
przedłużam
koi płynny

Tylko to, co
kragla Cała
stała oddal,
morze i nie
uleczy... i n

— Bądź alb
Czy to z szu
słyszę prze
Słyszę tak,
i natychmia
— Stań się!

W krzywych
jak puls nie
w pełni jaw
całym,
od słońca ze
zawrotnie d
ja — jakbyn
jakbym nie
utonałem i w
— — — — —

Albo delfin
i przewrócił
z boku na bo
wyjaśniając
raz swój ogo
srebrny szcz

JULIAN PRZYBOŚ

Na morzu

Odpłynąłem — zepchnąłem ciężar z serca, ciężar ziemi,
lżej i żywiej choremu we lżejszym żywiole.

Oddechami szerokimi
przedłużam się do czasu... i przestrzeni,
koi płynny horyzont myo-stenokardię.

Tylko to, co skończone a otwarte,
krągła Całość, niewymierny Ogół,
stała oddal, nieustanny ruch,
morze i niebo
uleczy... i natęży do ostatka wolę.

— Bądź albo nie bądź!
Czy to z szumu i ciszy, z powietrza i wody
słyszę przeciwbijące mocne serce rzeczy?
Słyszę tak, jakbym nagle zyskał drugi słuch
i natychmiast do pierwszego ogłuchł:
— Stań się! Teraz i tu.

W krzywych światła na fali, kardiogramach pogody
jak puls niestałych,
w pełni jawy, na pełnym morzu z niebem
całym,
od słońca ze dna do słońca ze szczytu
zawrotnie dla nikogo — dla mnie — odsłoniętym,
ja — jakbym się nie mieścił albo
jakbym nie był —
utonąłem i wyszedłem z brzegów — —
— — — — —

Albo delfin mignął pletwą za okrętem
i przewrócił moją jaźń —
z boku na bok,
wyjaśniając w rozigraniu raz łeb,
raz swój ogon,
srebrny szczegół.

Już tylko obejmujemy.
Obejmujemy żywego.
Sussem już tylko serca
umiejąc go dopaść.

Ku zgorszeniu pajęczycy,
krewnej naszej po kądzieli,
on nie zostanie pożarty.

Pozwalamy jego głowie,
od wieków ulaskawionej,
spocząć na naszym ramieniu.

Z tysiąca bardzo splątanych powodów
mamy w zwyczaju
słuchać, jak oddycha.

Wygwizdane z misterium.
Rozbrojone ze zbrodni.
Wydziedziczone z żeńskiej grozy.

Czasem tylko paznokcie
błysną, drasną, zgasną.
Czy wiedzą,
czy choć mogą się domyślić,
jakiej fortuny są ostatnim srebrem?

On już zapomniał
uciekać przed nami.
Nie zna, co to na karku
wielkooki strach.

Wygląda,
jakby ledwie zdołał się urodzić,
cały z nas, cały nasz.
Z błagalnym cieniem rzęsy
na policzku.